

# KRONIKI SALTAMONTES

UCIECZKA Z MROKU



MONIKA MARIN



„Kroniki Saltamontes - Ucieczka z mroku” - Monika Marin

Fragment rozdziału pierwszego, pt. „Ucieczka z mroku”.

W oddali słychać było głosy bawiących się dzieci oraz krzyki opiekunek próbujących rozdzielić jakichś chłopców, którzy wdali się w bójkę. Usłyszałem strzały, ale już się ich nie bałem tak jak kiedyś. Oficjalnie ogłoszono koniec wojny, sam widziałem, jak ludzie z radości rzucali się sobie w ramiona. Trzymałem Aleksa za rękę, a ten, wyższy ode mnie o pół głowy, patrzył z ukosa, bym przypadkiem nie zauważył, że płacze. Też słyszałem, że raz na jakiś czas dzieci są przydzielane różnym rodzinom do adopcji, ale nie przypuszczałem, że to mógłbym być ja! Byłem po trosze beztroski i buńczuczny, a po trosze zagubiony, ale przede wszystkim wrażliwy, bo łyż bliskiej mi osoby nie pozostawiała mnie obojętnym. Przełknąłem ślinę i wydusiłem cicho:

– Ale my jesteśmy braćmi. I zawsze tak pozostanie... – Po chwili ściszyłem nieco głos i dodałem: – Nikt i nic nie zdoła nas rozdzielić...

A potem przez dwa dni nie poruszałem już tematu, który pochłaniał każdą sekundę mojego życia od momentu, kiedy się o nim dowiedziałem. Gdyby trwało to jeszcze dłużej, wybuchłbym jak bomba. I wtedy nadeszła ta chwila. Bawiliśmy się akurat w berka, gdy zawołała mnie Barbara. Machnęła grubą dłońią, krzyknąwszy głośno moje imię, i kołyszając biodrami, skierowała się z powrotem w stronę budynku. Czułem, że coś się święci.

– Posiedzisz teraz w poczekalni, aż cię zawołam. Tylko nie hałasuj, bo maluchy śpią – powiedziała tonem przywódcy, a ja nie śmiałem nawet jej odpowiadać, bo stać mnie było jedynie na skinięcie głową.

Weszła do pokoju gościnnego. Zza drzwi usłyszałem rozmowę, której nigdy nie zapomnę.

– To ile chłopak ma lat? – zabrzmiał surowy damski głos. Nie rozpoznałem go.

– Skończył osiem. Według tego, co pani opowiada, tylko on pasuje. Nawet podobnego tu nie mieliśmy. Jednak stuprocentowej pewności nie mam...

– Tak, to musi być on. Mam tutaj papiery, też wskazują na tego chłopca. Może pani je przejrzy?

Nagle usłyszałem szelest i westchnienia Barbary, a potem cichy, zrezygnowany głos, który nie pasował do jej charyzmy.

– Tak, to by pasowało... Nie ma tylko najważniejszego: metryki urodzenia. Rozumie pani, że muszę być ostrożna... – powiedziała Barbara. – Nie możemy tak beztrosko rozdawać dzieci.

– Moim zdaniem powinniście się cieszyć – odpowiedziała kobieta srogo – że ktoś chce was wspomóc.

– Może i tak, ale gdybym wiedziała na pewno, że to ten Adam... A pewności nie mam. Proszę jeszcze przemyśleć sprawę tej adopcji – poprosiła Barbara, siląc się na uprzejmość.

– Naradzę się z mężem. Ale jeśli nasze zdanie się nie zmieni, to przyjedziemy po niego w przyszłym tygodniu. Mogę go teraz zobaczyć?

Poczułem, że robię się ciężki i że pod wpływem tego ciężaru nie ruszę już nigdy żadną kończyną, nie wspominając o ustach. Gdy kobiety otworzyły drzwi, aby wyjść na korytarz, zrobiło się jeszcze gorzej. Miałem wrażenie, że zapadam się pod ławkę, a potem pod ziemię.

Spuściłem ze strachu wzrok, a gdy go podniosłem, zobaczyłem zasepioną Barbarę, a obok niej kobietę w średnim wieku, niewielkiego wzrostu, o szarych włosach i smutnych oczach, które wyrażały dezaprobatę do całego świata, pretensje i biedę. Czułem się sparaliżowany. Barbara to zauważyła, więc zaczęła mówić pierwsza.

– To jest pani Elżbieta, która najprawdopodobniej jest twoją ciotką. Wstań i się przywitaj – powiedziała moja ulubiona opiekunka.

Domniemana ciotka wyciągnęła rękę w moim kierunku, lecz ja, przygnieciony ciężarem sytuacji, nie byłem w stanie ruszyć nawet palcem. Patrzyłem na nią tępym wzrokiem i myślałem tylko o tym, jak powiedzieć stojącym naprzeciwko mnie kobietom, że mam brata, którego nie mogę zostawić w ośrodku.

– Proszę pani... – wydusiłem w końcu.

– Tak, chłopcze – odpowiedziała natychmiast Barbara.

– To znaczy, że ja... że ja... będę mieszkał u tej pani? – spojrzałem na Elżbietę. – U tej pani ciotki? Ale ja pani przecież nie znam!

Reszką sił wstałem z ławki, odwróciłem się i z duszą na ramieniu skierowałem się w stronę podwórka. Zostawienie Aleksa równało się dla mnie zdradzeniu jedynej osoby, która zobowiązała się zostać moją rodziną i to bez względu na brak rzeczywistych więzów krwi. Już wtedy wiedziałem, że wszystkie bogactwa świata razem wzięte nie są tyle warte co jeden prawdziwy przyjaciel.

I ani ciotka, ani nikt na świecie, obwieszczający wszem i wobec, że wszystko to robią dla mojego dobra, nie byli w stanie tego zmienić.

Gdy podszedłem do Aleksa z nowiną, ten siedział skulony na trawie obok murku zarośniętego mchem i dłubał kijem w ziemi.

– To jakaś tam ciotka... W dodatku nie wiadomo, czy moja, bo jej nie znam... – zakomunikowałem.

– Skąd to wiesz? Może byłeś tak mały, kiedy ją ostatnio widziałeś, że jej po prostu nie pamiętasz...  
– oświadczył Aleks.

– Barbara zabrała mnie do pokoju gościnnego i przedstawiła tej pani. Pamiętam czy nie, nie znam jej. A poza tym mają się namyślić, więc jeszcze nic nie wiadomo...

– To znaczy, że nie wiadomo, czy cię zabiorą?

– Nie wiadomo... – powtórzyłem, lecz Aleks mi nie uwierzył. Spojrzał na mnie smutno, po czym powrócił do mieszania kijem.

Tego dnia nie rozmawialiśmy już ze sobą.

Tydzień później, bardzo wczesnym rankiem, szedłem już u boku ciotki i jej męża w kierunku ich domu. Ciągnąłem za sobą tobołek z ubraniem na zmianę, który przygotowała mi Barbara. Płakało niebo, bo wtedy spadł pierwszy ciepły, wiosenny deszcz, oraz moje serce, bo czułem, że oczami płakać nie mogę. Wciąż nie wierzyłem, że ktoś tak oziębły i bez wyobraźni może być moją rodziną. Doszedłem do wniosku, że najwyraźniej ludzie ci nie mieli do czynienia z dziećmi, ponieważ traktowali mnie jak powietrze, rozmawiając przy mnie na temat mojej osoby w sposób bezosobowy.

– Ciekawe, czy GO czegoś nauczyli w tym ośrodku – powiedziała ciotka.

– A czego ty się spodziewasz? – odpowiedział wuj, łypiąc na mnie kątem oka i nerwowo podnosząc brew. – Oni tylko dzieciakom jeść dają i czekają, aż któreś padnie jak mucha, bo przynajmniej zgraja do wyżywienia się zmniejszy. Dzieciaki w ośrodkach nie mają czasu na naukę! – dodał triumfalnie, jakby wygłaszał ważne przemówienie, po czym naciągnął na swój wystający brzuch zbyt luźne spodnie.

Chciałem wtedy wtrącić, że się myli, że Barbara uczyła nas czytać, pisać i liczyć oraz opowiadała o dalekich krajach, ale po raz kolejny głos utknął mi w gardle.

– Ale nie po to go biorę, aby jak darmozjad siedział! Musi się nauczyć drewno rąbać, w piecu palić. Mnie już zdrowie nie pozwala... Poza tym musi zasłużyć na chleb!

Szedłem obok nich i czułem, że torba z ubraniem robi się coraz cięższa, na podobieństwo mojego ciała, które nie pozwoliło mi wyciągnąć ręki do ciotki na korytarzu, gdy wyszła się przywitać. Szedłem jak skazaniec na ścięcie i wciąż myślałem o Aleksie oraz o tym, że tak jak całym sercem marzyłem o posiadaniu domu, tak również z całego serca bardziej pragnąłem z dwojga złego pozostać w ośrodku, niż trafić pod dach jakiejś ciotki, która tak naprawdę nie wiadomo, czy rzeczywiście nią była. Szliśmy wzdłuż wąskiej uliczki, aż dotarliśmy do starego cmentarza. Ciotka szarpnęła mnie za rękaw i pokazała głowę, gdzie powinienem iść. Wuj spojrzął na nią, nerwowo gładząc się po kilku włosach, które wystawały mu z łysiny, niczym samotne drzewa na wielkiej polanie.

– Tak bez problemu ci go dali? – zapytał znowu, gdy wchodziliśmy w gęste krzaki.

Jego wąsy, do tej pory sterczące triumfalnie, opadły przytłoczone wielkimi kroplami deszczu. Ścieżka cmentarna ubrana w wąskie schodki zaczęła schodzić w kierunku małego strumienia i niewielkiego kościoła.

– Nie bez problemu – odpowiedziała ciotka. – Trzeba było pokazać te wszystkie papierzyska... Ale wiesz... wojna była, kto by tam wnikał w szczegóły – uśmiechnęła się szyderczo.

Ze zniecierpliwieniem czekałem na dalszą część rozmowy, a deszcz zacinął coraz bardziej. Minęliśmy kościół i znowu zaczęliśmy iść pod górę, aż ukazał się nam dom z szarą elewacją i niewielkim ogrodzeniem. Gdyby nie gęste zarośla, z jego okien można by było dostrzec nagrobki.

– Ale może to i dobry pomysł z tym dzieciakiem... Posłuż u nas trochę, ulży ci...

– Cicho! – ciotka się zreflektowała, że się zagalopowali. – ON słucha.

Wielkim srebrnym kluczem wuj otworzył skrzypiące drzwi i kazał mi wejść do środka. Gdy znalazłem się w długim korytarzu, dłonią wskazał łazienkę.

– Ale w wannie się kąpać nie będziesz, tylko w misce – burknął, zakręcając swego czarnego wąsa.

Ze strachu kiwnąłem potakująco głową i wbiłem wzrok w wypastowaną podłogę, w której odbijałem się jak w lustrze.

– I na razie będziesz spał w pokoju naprzeciwko – dodała ciotka.

Wyjęła z kieszeni zgniecionego papierosa, którego przez chwilę obracała między palcami. A potem z drugiej kieszeni wyjęła pudełko zapalek i go zapaliła.

– Tym... z widokiem na cmentarz? – wydusiłem cichutko.

– A co ci ten widok przeszkadza? – zapytał wuj, a ubrana w kłęby dymu ciotka wtrąciła:

– Proszę, proszę! Już się dąchy zaczynają... U nas marudzenia nie będzie! Zapamiętaj to sobie! Dyscyplina i porządek przede wszystkim, rozumiemy się?

Znowu pokiwałem głową, nie podnosząc wzroku.

– A ty to mówić umiesz? – zaciekała się ciotka.

Przytaknąłem.

– To powiedz coś jeszcze! – zażądała wojskowym tonem.

Mnie jednak w gardle utknął gruby kamień, który całkowicie sparaliżował narząd mowy. Zatęskniłem za Barbarą, jej przybrudzonym fartuchem i sterczącymi włosami, za Aleksem i jego maszyną do uszczęśliwiania świata, za spotkaniami w piwnicy i zapachem przypalonej kapusty roznoszącym się po całym ośrodku dla sierot. W głowie szybko zacząłem przewijać sobie film od końca do początku, czyli przypominać drogę, którą tamtego dnia przebyłem, a co za tym idzie, trasę od domu ciotki do sierocińca. Pomyślałem, że jeśli przeszliśmy w jedną stronę pieszko, to uda mi się też w drugą. Niech się tylko nadarzy taka okazja.

I tak mijał mi dzień po dniu, a każdy z nich wyglądał tak samo: ciotka z wujem wstawali zawsze o szóstej trzydzieści i z ponurymi minami zasiadali do śniadania. Nie odzywali się do siebie albo wylewali na siebie wiadra pretensji, plując jednocześnie przeżuwanym jedzeniem na wszystkie strony. W ciągu dnia moim zadaniem było przynosić drewno, wynosić śmieci, wieszając pranie i grzecznie się uśmiechać do znajomych, którzy niekiedy odwiedzali dom. Wieczorem zasypiałem, płacząc, a rano budziłem się, też płacząc. Aż nadszedł dzień krytyczny. Któregoś razu ciotkę zaczepiła sąsiadka mieszkająca po drugiej stronie ulicy i zapytała, czy ze mną jest wszystko w porządku.

– Pewnie że w porządku, a co ma być? – odpowiedziała naprędce ciotka, szarpiąc mnie za rękę i czym prędzej ciągnąc do domu. Gdy zatrzasnęła za sobą drzwi, ściągnęła wiszący na wieszaku gruby skórzany pasek wuja i zaczęła wrzeszczeć, machając mi nim przed nosem.

– Posłuchaj, co ci teraz powiem! Albo skończysz te cyrki z ryczeniem w nocy, albo wprowadzę dyscyplinę, co ci te wszystkie rozpacze z głowy wybije, rozumiemy się?

I wtedy zamachała pasem, abym dokładnie wiedział, co ma na myśli. Jej twarz wykrzywiła się coraz bardziej, tworząc zmarszczki, jakich wcześniej nie widziałem. Głos stał się mocny i surowy, by za chwilę zamienić się w wycie maltretowanego kota.

– Nie wzięłam cię dla przyjemności! Co ty myślisz, że tak łatwo w tych czasach kolejną gębę wykarmić? Twoje uczucia? Ha ha! Koń by się uśmieł! Myślisz, że będę cię teraz żałować?

Ciotka ponownie zamachała mi paskiem przed nosem, a ja skuliłem się w sobie.

– Chyba zacznę żałować, że nie wzięłam innego bękarta – rzekła, obróciła się na pięcie i wysłała, mocno tupiąc nogami i trzaskając drzwiami.

To popołudnie spędziłem na cmentarzu. Wiedziałem, że w tym miejscu nic mi nie grozi. Ludzie rzadko tam przychodzili. Czuli strach przed zdemolowanymi grobami, ponieważ w okolicy krążyły legendy o wystających z liści trupich czaszkach. Ale Barbara zawsze nam powtarzała, że nie należy się bać umarłych, tylko żywych, oraz że dzieci mają tak czyste serca, że złe duchy im nic nie zrobią, natomiast dobre staną w ich obronie. Usiadłem więc na niewielkiej ławeczce, którą prawdopodobnie ktoś kiedyś postawił przy grobie bliskiej osoby. Zacząłem analizować słowa Barbary, która mówiła o przesuwaniu granic, przymusowych przeprowadzkach i zmianie porządku świata. Pomyślałem wtedy, jak cudownie byłoby, gdybym mógł się tak po prostu wyprowadzić. Ale byłem dzieckiem i największą bolączką stanowił fakt, że nie mogłem jeszcze o sobie decydować... Na cmentarzu wiał delikatny wiatr, a przez korony drzew niemrawo prześwitywało słońce. Położyłem się na ławce, kuląc nogi i naciągając na kolana dziurawy sweter. Sam nie wiem, kiedy zamknąłem oczy.

A potem je otworzyłem, a przynajmniej tak mi się zdawało. Przede mną stał starszy elegancki pan, który zwrócił się do mnie tymi słowami:

– Nie poddawaj się, Adamie. Przez całe twoje życie będę cię prowadził i chronił, więc się nie poddawaj.

– Kim jesteś? – zapytałem we śnie.

– Kimś bardzo bliskim. Nim się obejrzysz, a poznasz mnie bardzo dobrze. – Starszy pan podszedł i pogłaskał mnie po głowie. – A teraz uwierz mi: przed tobą bardzo długa podróż przez życie. A życie to zmiany. Gdy nie ma zmian, nie ma życia. Życie jest jak rzeka. Nie możesz zatrzymać jej biegu, bo wtedy z rzeki robi się staw, w którym nie ma już krystalicznej wody, a brudna, ciężka ciecz. Musisz być dzielny i nie zgadzać się na los, jaki cię teraz spotyka.

– Nienawidzę ciotki... – powiedziałem szczerze.

– Więc będziesz wiedział, co zrobić...

– To znaczy, że mogę od niej uciec? – zapytałem głośno i już naprawdę otworzyłem oczy.

Przedemną nie było nikogo ani niczego, oprócz zdemolowanego grobu przykrytego stertą zgniłych liści. Wstałem z ławki i spojrzałem przed siebie w kierunku kształtu, jaki sobie tylko wyobraziłem, a potem zajrzałem do ogromnej dziury, w której kiedyś najprawdopodobniej leżała trumna. Wbrew temu, co mówili ludzie, nie znalazłem tam ludzkich kości. Podniosłem więc głowę w stronę nieba i wyszeptałem:

– Dziękuję, proszę pana. Już wiem, co mam robić. Rzeka, a nie staw...

Uśmiechnąłem się sam do siebie.

Noc była czarna jak aksamit. Na zewnątrz nie było widać żywego ducha, nie świeciła się też żadna latarnia. Gdy ciotka z wujem udali się do swych łóżek, delikatnie wysunąłem głowę spod kołdry, aby się upewnić, czy śpią. Sięgnąłem po złożone wieczorem ubranie. Bezszelestnie zdjąłem zbyt wielką piżamę, którą dostałem od domniemanej rodziny, i niedbale rzuciłem ją na podłogę. Ubrałem się cichutko w swoje stare spodnie i koszulkę, założyłem buty, sweter oraz kurtkę i podszedłem do drzwi. Były zamknięte. „Ale gdzie są klucze?” – pomyślałem. Z moich wcześniejszych obserwacji wynikało, że klucze zazwyczaj wisiały bezładnie po wewnętrznej stronie dziurki. Noc nie ułatwiała mi zadania. Spojrzałem w stronę okna. To mogło być wyjście. Delikatnie przekręciłem klamkę i otworzyłem je na oścież. Nie miałem problemu z wyskoczeniem przez nie. Parter był wprawdzie wysoki, ale byłem nauczony skakać przez wysokie płoty, bowiem często to robiliśmy z Alekssem.

Wszystko wykonałem bezszelestnie, nie budząc nikogo. Gdy znalazłem się na zewnątrz, co sił w nogach pognałem w kierunku cmentarza, pamiętając, że właśnie tamtędy szedłem niczym skazaniec prowadzony przez ciotkę i wuja do ich domu. Ziajany dobiegłem do pierwszych starych drzew, potem ścieżką w dół w kierunku kościoła i strumienia. Kompletna ciemność mnie przerażała, ale wiedziałem, że muszę pokonać strach i po omacku znaleźć ścieżkę z wąskimi schodkami prowadzącymi do drugiego wyjścia. Problem w tym, że nic nie widziałem. Paraliżowały mnie całkowita ciemność i świadomość, że właśnie znalazłem się wśród grobów, których zawartość mogła leżeć u moich stóp. Ukucnąłem i wyciągnąłem ręce w dół. Miałem nadzieję poczuć kamień, z którego zbudowano schody, lecz poczułem tylko grząską ziemię i lepkie błoto. Im dalej szedłem, tym bardziej się zanurzałem, aż zdałem sobie sprawę, że jestem w fatalnej sytuacji. Serce biło mi jak młot, lecz wciąż się nie poddawałem i szukałem czegoś, czego mógłbym się złapać i co pomogłoby mi się wydostać z grząskiej mazi. I wtedy usłyszałem znajomy głos, podobny do tego, który opowiadał mi o rzece i stawie.

– Wyciągnij rękę w prawo. Tam znajdziesz kładkę – powiedział ciepłym i opiekuńczym tonem.

Posłusznie wykonałem polecenie i natychmiast poczułem coś twardego, co rzeczywiście mogłoby być kładką. Złapałem się jej i pomagając sobie silnymi szarpnięciami, powoli wyciągałem ciało z błota.

– Teraz trzymając się drewnianego mostku, zaprzyj się lewą nogą o kamień. Jest zanurzony w błocie zaraz obok ciebie.

Tak też było. Kamień znalazłem bez trudu. Po kilku minutach mocowania udało mi się w końcu wygramolić z lepkiej mazi. Drżałem z zimna, ale byłem szczęśliwy. Wtedy znowu uzmysłowiłem sobie istnienie głosu i rozejrzałem się dookoła. Lecz ciemność była nadal tak przeraźliwa, że nie widziałem nawet czubka swojego nosa.

– Teraz wstań i powoli idź przed siebie – ponownie powiedział głos.

Tak uczyniłem. Po kilkunastu sekundach dotarłem do kamiennych schodków prowadzących na górę. Gdy podniosłem głowę, zobaczyłem delikatny punkcik, który oświetlał wyjście z cmentarza, a który okazał się ledwo dyszącą uliczną latarnią. Odetchnąłem z ulgą. Już chciałem zacząć biec co sił, lecz zaraz się potknąłem, najprawdopodobniej o płytę nagrobną. W ułamku sekundy upadłem na coś, co przypominało ludzkie ciało! Leżałem na KIMŚ! Zamarłem w bezruchu. Nie pamiętam, kiedy zacząłem wrzeszczeć:

– Ratuuuunkuuuu!!!! Trup! Trup! Ratunkuuuu!

Ciało leżące pode mną zaczęło się szamotać i wrywać.

– Zamknij się! – krzyknął mi wprost do ucha trup.

Stanąłem na równe nogi, a trup złapał mnie za rękę.

– Aaaaaa!!! – krzyknąłem jeszcze głośniejsze.

– Aaaaaa!!! – powtórzył trup.

Nagle umilkłem. Ten głos mi kogoś przypominał... Potarłem oczy. Ledwo dysząca latarnia zakreślała kontury postaci.

– Aleks? – zapytałem.

– Adam? – odpowiedział trup.

– Taaak!!! To ja, na miłość boską, zlituj się! – wrzasnąłem, nie mogąc uspokoić walącego jak kościelny dzwon serca. – Ale co ty tutaj robisz?! – zapytałem, dygocząc z zimna.

– Przyszedłem po ciebie. Za kilka godzin ewakuują ośrodek. Już pakują ciężarówki. Przenoszą nas do Niemiec...

– A to my nie jesteśmy w Niemczech? – zapytałem zdziwiony.

– Już nie. Barbara mówiła, że jacyś grubi faceci z cygarami w dłoniach zdecydowali, że granica polsko-niemiecka będzie przebiegała inaczej. Teraz w Szczecinie będzie Polska. To znaczy Szczecin w Polsce, przepraszam... – wydukał Aleks.

– No co ty gadasz? – nie dowierzałem.

– No tak! Naprawdę! Wolałem pójść po ciebie, zanim nas wywiozą w zupełnie inne miejsca i, nie daj Boże, już się nigdy nie zobaczymy.

Pomyślałem chwilkę, po czym zapytałem:



– Ale skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Nie wiesz, że jak do czegoś dążę, to nie odpuszczam? Wystarczyło, że Barbara poszła na spacer z dziećmi, i od razu rzuciłem się na dokumenty w jej gabinecie. Tam był zapisany adres twojej ciotki. Wieczorem wymknąłem się przez naszą dziurę w płocie i teraz jestem tu! Ale najgorszy ten cmentarz... Jak się stąd w ogóle wydostać? Wiesz? – zapytał Aleks.

– Nic się nie martw! – odpowiedziałem uradowany. – Ja cię wyprowadzę. Powiedz mi tylko, proszę...

– Co mam ci powiedzieć?

– Czy to ty mówiłeś na cmentarzu, jak mam się wygramolić z błota i wdrapać na kładkę?

– Żartujesz chyba... Przecież tam było ciemno jak w kotle ze smołą!

– W takim razie czyj to był głos? – zapytałem ponownie.

– Adam... A tobie to się coś nie wyobrażało przypadkiem?

Westchnąłem.

– Pewnie to moja wyobraźnia... – odparłem.

Złapałem Aleksa za rękę i spojrzałem w kierunku ledwo świecącej latarni.

– Chodź za mną – powiedziałem – wyprowadzę nas z tego ponurego miejsca.

Przeprawa przez cmentarz i dotarcie do ośrodka zajęły nam godzinę, a może i dłużej.

Raz po raz mijały nas samochody patrolujące miasto, a my przedzieraliśmy się najpierw przez dżunglę zdemolowanych grobów, a potem dżunglę żywych żołnierzy, którzy raz po raz zerkali na nas jak na coś podejrzanego. Dwóch chłopców szwendających się samotnie późnym wieczorem w czasach, gdy gdzieś jeszcze słychać było strzały, nie wyglądało naturalnie. Chłopcy powinni siedzieć w domu i trzymać się spódnicy mamy – oczywiście pod warunkiem, że ma się mamę – a nie włóczyć po nocy w poszukiwaniu przygód. Razem z Alekssem osiągnęliśmy jednak mistrzostwo w czmychaniu w krzaki.

W pewnym momencie usłyszałem za sobą warkot silnika i gruby męski głos. Myślałem, że moje serce znowu zatrzyma się ze strachu i przerażenia.

– Ej, ty. Co tam robisz w taką noc?!

Zamarłem i rozejrzałem się dookoła. Wtedy Aleks złapał mnie za rękę i silnym ruchem pociągnął w kierunku pobliskiego murka.

– Spadamy stąd! – krzyknął i zanim się obejrzałem, wylądowaliśmy w dołku pełnym liści. Przyjaciel zakomenderował: – Zakopuj się...

Posłusznie nakryłem się liśćmi jak miękką kołdrą. Było to nawet dość przyjemne, bo okazało się, że nagle zrobiło mi się ciepło. Siedzieliśmy dobrą chwilę, dysząc głośno, gdy odważyłem się odezwać.

- W takim tempie dojdziemy do ośrodka za dwa dni. Masz jakiś plan? – zapytałem.
- Musimy poczekać, aż żołnierze pójdą spać. Wtedy pobiegniemy co sił – powiedział Aleks.
- Ale w nocy też jeżdżą i patrolują. Ciotka tak mówiła... – odparłem.
- Ale nie tyłu. W końcu każdy się kiedyś musi zmęczyć, co nie?
- Niestety tak... – odpowiedziałem, po czym ziewnąłem, wydając z siebie głośne „aaaa”.
- Cicho, Adam, bo nas usłyszą – syknął Aleks.
- Chce mi się spać, co mam zrobić? Może prześpimy się w tym dole i ruszymy rano? – zapytałem z nadzieją.
- Niemożliwe. Samochody do Niemiec wyjeżdżają o świcie. Prawdopodobnie już wszystko spakowane. Nikt na nas nie będzie czekać...
- A gdzie wyjeżdżamy? – zapytałem.
- Do jakiegoś Heidelbergu. Podobno z drugiej strony Niemiec. Barbara mówiła, że miasto nie zostało zniszczone przez naloty i tam właśnie się osiedlimy.
- A to daleko?
- Chyba bardzo daleko. Piechotą to pewnie i miesiąc byś szedł – odparł Aleks. – Wczoraj patrzyłem na tę naszą mapę. Kawał drogi...
- Dalej niż do Iano? – zapytałem.
- Mój przyjaciel się uśmiechnął.
- Nie... Bliżej. Ale po drodze. Prawie... – odpowiedział.
- To dobrze – stwierdziłem i jeszcze raz ziewnąłem.
- Nie wiem dokładnie, ale to chyba ze dwa dni drogi samochodem. Barbara mówiła, że tam załatwiła nam jeden dom na sierociniec. Że będzie nareszcie normalnie, że będziemy mogli swobodnie chodzić po ulicach i nie będziemy słyszeli wybuchów bomb. Powiedziała jeszcze, że dostaniemy o wiele więcej jedzenia, że będziemy mogli też częściej się kąpać... Że w mieście, do którego jedziemy, jest dużo dobrych ludzi, którzy będą pomagać dzieciom.
- Ja tylko mam nadzieję, że mnie już żadna ciotka nie weźmie. Wolę zostać z tobą i Barbarą – powiedziałem i nagle poczułem, jak liście zaczęły mnie uwierać, a pod ubranie wszedł mi jakiś robak. Skoczyłem na równe nogi.
- Idziemy teraz! Nie będziemy dłużej siedzieć w tym podłym dole – krzyknąłem.
- Dobra! – odpowiedział Aleks. – Ruszajmy!

Patrol odjechał, a my przemykaliśmy między starymi drzewami, niemrawo świecącymi latarniami i stosami gruzów. Szliśmy szybko, po chwili biegliśmy, potem znowu zwalnialiśmy, aby rozkładać

siły. Minęliśmy duży budynek. Najprawdopodobniej kiedyś była tu szkoła, ale teraz służył nam za punkt orientacyjny, upewniający nas, że nie zabłądziliśmy. I ja, i Aleks zapamiętaliśmy dokładnie to miejsce, gdy szliśmy w odwrotną stronę. Dodatkowo niedaleko świeciła kolejna latarnia, co wprowadziło element ciepła do surowego i mrocznego ulicznego nastroju.

Byliśmy już całkiem blisko ośrodka, gdy nagle poczułem, jak duża dłoń łapie mnie za kołnierz. Odwróciłem głowę w stronę Aleksa i uświadomiłem sobie, że on również znalazł się w uścisku wielkiej łapy. Usłyszeliśmy szorstki i złowieszczy głos.

– A co wy tu robicie o tej porze? Grzeczne dzieciaki powinny już chyba spać, co nie?

– Puszczaj! – wrzasnąłem.

Aleks zaczął się szamotać, co trochę zdezorientowało napastnika.

– Macie coś wartościowego? Zaraz mi tu dawać! – krzyknął jeszcze głośniej rosły mężczyzna, wciąż nie wypuszczając nas ze swoich łap.

– Niczego nie mamy! Puszczaj nas, draniu! – tym razem wrzasnął Aleks, a ja zrobiłem lekki obrót i mocno kopnąłem napastnika między nogi. Natychmiast nas wypuścił, łapiąc się z bólu za krocze, a my zaczęliśmy uciekać. Zdyszani zatrzymaliśmy się dopiero przy płocie ośrodka. Przeczłgaliśmy się przez naszą dziurę i znaleźliśmy się obok budynku, w którym spędziliśmy kawał naszego dzieciństwa. Aleks usiadł na trawie, a ja obok niego. Nie mogliśmy złapać tchu.

– Już po wszystkim... jesteśmy na miejscu. Ale się cieszę... – powiedziałem, sapiąc głośno, po czym dodałem, nie kryjąc wzruszenia: – Dziękuję, że po mnie poszedłeś...

– Nie ma sprawy. W końcu jesteśmy braćmi, no nie? – odpowiedział mój kompan i klepnął mnie po przyjacielsku w plecy.